

Pamiętam gromy, z jakimi profesor Jacek Woźniakowski wyrażał się o jego obrazach w telewizyjnej audycji przygotowanej przez Nyczka. On sam wystąpił w roli zdecydowanego apologety, podczas gdy mnie wypadło znaleźć się pośrodku, choć w tym czasie byłem już przesycony reperturem obrazów Beksińskiego. Ale opinie Woźniakowskiego opierały się wyłącznie na płytkich jego fobiach. Niedocenianie Beksińskiego na równi z przecenianiem były faktorem ożywiającymi kontrowersję. W jednym panowała zgodność – jego obrazy wykluczały obojętność. I tym się odróżniały od większości artystycznej reszty.

Jeśli idzie o mrzonki awangardy i opętanie abstrakcją, to Beksiński przebrał już wcześniej. Zdążył zgłębić jej pustkę i w zdrowej reakcji na tę jałowość, wycofał się na pozycję potępianej „anedoty” czyli „sztuki narracyjnej”. Ale to, o czym mówił, z małymi wyjątkami pochodziło z głębokich pokładów kosmzaru. By wzmocnić ten efekt, zwykł utrzymywać, że to wszystko są tylko żarty, w których istocie nie ma żadnych znaczeń. Nie było to z jego strony zbyt szczere, bo skądinąd wiem z listów i rozmów, że świat i rzeczywistość w ogóle postrzegał w ciemnych barwach katastrofy. Co ciekawe, w swym pesymizmie był realistą, z racjonalnym chłodem dowodzącym, że nie czeka nas nic dobrego. W najlepszym razie – śmierć.

Ujmując rzecz w rękawiczkach, do jego wizeronsterwa można też podejść od strony psychologii głębi. Co prawda, żaden z szacownych psychoanalitików – Freud, Jung, Adler – nie byłby tu za bardzo przydatny. Najbardziej może Wilhelm Reich, gdyby go zmieszać z Gilles'em Deleuze'em. Ale w triumfalnych latach Beksińskiego malarza Deleuze był zapowiadającym się dobrze uniwersyteckim mołem, znanym głównie w kręgu znajomych. W Polsce pierwsze przekłady jego pism ukazały się w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Szeptactwo w podziemiach umysłu, które Beksiński zawzięcie uprawiał oraz nieskrępowana eksploatacja treści nieświadomych są kluczem do tego straszliwego sezamu. Co prawda – ale to przy rozmowach na inne tematy – Zdzisław odżegnywał się od wszelkich piwnic, podziemi i ciemnych zakamarków. Nawet przy swojej wiedzy technologicznej starał się jak najmniej wiedzieć na przykład o strukturach pamięci elektronicznej. „Obawiam się, że w głębi twardych dysków rządzą pająki!” – powiedział kiedyś. Pająki były symbolem jego nerwicy. Czy jest to jednak potrzebne – poszukiwanie rozumowych podstaw dla jego nieco przerażającej wולności? Oczywiście, jeśli to kogoś pociąga, może sprawdzać, jaki tu byłby pożytek z psychologii głębi. Ktoś powinien to zrobić. Jest jednak jeszcze trzeci punkt widzenia. Okultystyczny. I nie chodzi tu tylko o to, że miejsce jeszcze zawsze wypada gdzieś blisko magii.

Za sprawą uporzecznej indoktrynacji ze strony Andrzeja Urbanowicza, przez wiele lat Beksiński zdawał się być otwarty na to co z grubsza nazwijmy tutaj ezoteryką. Ponieważ wszystko u niego było naznaczone pólfironicznym dystansem, także i tak zwane nauki tajemne brał z przymrużeniem oka. Ale brał. A nawet przez jakiś czas przeprowadzali z Urbanowiczem doświadczenia z telekinezją. Ten temat ciągle powracał w naszych rozmowach i listach, ponieważ artysta chciał mieć pewność, że

nie chodzi tylko o jakiś naiwny i marzycielski spirytyzm. Jeśli zaś idzie o poważniejszy poziom okultyzmu, czyli o gnozę, to chyba nie mógłby akceptować żadnego jej systemu, jako że w mentalności Beksińskiego nie było miejsca dla żadnego systemu. Żadnych aksjomatów, a tym bardziej dogmatów. Był jedynie ciekaw. Faktem więc pozostaje, że w wielu obrazach z lat 1973–79 umieszczał emblematy, symbole i alegorie o proveniencji ezoterycznej. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych planował nawet cykl obrazów, inspirowany się wielkimi arkanami tarota. Nawet częściowo go zrealizował. I wreszcie – choć tego tu nie dowiodę – skrycie liczył się z możliwością, że świat (istnienie, rzeczywistość, historia itd.) jest natury teleologicznej. Czyli przyjmował ciemną energię przeznaczenia. A nawet otwarcie mówił, że wiele wie (wyczuwa?) o entropicznych jej mechanizmach.

Urbanowicz był w tej materii niewątpliwym erudytą, upartym na punkcie swoich przeświadczeń. Drażył więc i nękał Beksińskiego, magnetyzował swą wiedzą, ale to była cała siła jego argumentacji. Bo – jak to postrzegam – brakowało jej duchowego *esprit* – jeśli się tak można wyrazić. Czasem wypadało to śmiesznie, bo Beksiński z każdej rzeczy potrafił wydobyc komiczne słabości. Dla Zdzisława Andrzeja był przypadkiem czoligisty, który samym pancernem toruje drogę swoim rojeniom. Śmiesznie – a jednak... Może nawet mu tego trochę zazdrościł?

Umysłowość Beksińskiego była osadzona na gruncie pewnych lęków, których siła i jakość zmieniała się z czasem. Być może nawet, że ich przybywało, szczególnie w późnym okresie jego malarskiej twórczości, gdy z jego malarstwa zaczęły znikać elementy horroru, ustępując emocjonalnie ostudzonym grom techniczno-formalnym. Powstawały obrazy jak gdyby „animowane”, trochę w duchu duchampowskiego *Aktu na schodach*. Beksiński bawił się formą w takim stopniu, w jakim kiedyś bulwersował treściami. W sieci zdezintegrowanych kształtów rzadko już łopotało echo demonów, którymi dawniej sypał tak sugestywnie. Można by ostatecznie całą tę wspinaczkę Beksińskiego podzielić na piętra, wskazując na różne etapy i pewnie ktoś już to zrobił, robi lub robi. Faktem pozostaje, że – jak sięgam pamięcią – Beksiński, aż do samego końca, nigdy nie wcielał się w nic ani w nikogo. Był niezmienny, jak jego podpis, który znam tak dobrze. W przegodzie swego życia Zdzisław kreował rozmaite sceny, ale zawsze tym samym charakterem malarskiego/rysowniczego pisma. Zachowywał balans w tej nierówności między swoją osobnością a światem.

Zresztą w tym późnym czasie malarstwo przestało mu służyć jako medium ciemnej epifanii, a stało się komercyjnym gwarantem egzystencjalnej wygody. To była jego w pełni świadoma decyzja. Płacił za nią psychicznym cierpieniem, wynikłym z perturbacji ze swoim „menadżerem” i dobroczyńcą Piotrem D., którego szczerze nienawidził. Aż uznał, że ta nienawist jest drogą donikąd i pogodził się z tym, co nieuchronne. Czym było to „nieuchronne”, tego nikt jeszcze nie wiedział. On sam może przeznaczał, ale czy to na pewno?

Nie zabrzmi to całkiem dorzecznie, ale wydaje się, że do tego czasu **namalował** wszystko, co miał do namalowania. I w tym sensie jego artystyczny **rachunek**